

Informator Krajoznawczy

Nr 11/39 (listopad) 2012



**Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze
Oddział „Sudety Zachodnie” Jelenia Góra
Komisja Krajoznawcza**



Wprowadzenie

W listopadowym numerze Informatora Krajoznawczego zamieszczam relacje z dwóch imprez październikowych. W Poznaniu rozdano nagrody na Przeglądzie Książki Krajoznawczej i Turystycznej, a we Wleniu odbył się Dolnośląski Zlot Przodowników Turystyki Pieszej. Pierwsza impreza była ważna dla krajoznawców, druga dla działaczy organizujących imprezy piesze w PTTK. Ponieważ nasi turyści bardzo polubili wycieczki autokarowe do Czech zorganizowano kolejną, tym razem do Broumova. Mogliśmy zwiedzić klasztor z przepięknym kościołem oraz browar, w którym skosztowaliśmy różne gatunki piw tam warzonych. Dla osób zbierających Odznakę Krajoznawczą Polski zamieszczam kolejną relację ułatwiającą jej zbieranie. Tym razem opisuję obiekty zwiedzane w Warszawie. Życzę miłej lektury.

Krzysztof Tęcza

Spis treści:

Str. 1 Wprowadzenie

Str. 2 Rozdano nagrody na XXI OPKKiT w Poznaniu

Str. 5 Dolnośląski Zlot Przetwórców TP 2012 we Wleniu (zimowy)

Str. 10 Wycieczka do Broumova

Str. 16 OKP stopień srebrny – Warszawa (8)

Rozdano nagrody na XXI Ogólnopolskim Przeglądzie Książki Krajoznawczej i Turystycznej w Poznaniu

W dniach 24-27 października 2012 roku odbyły się XXIII Targi Regionów i Produktów Turystycznych TOUR SALON w Poznaniu. Jest to doroczne spotkanie wszystkich pracujących na rzecz rozwoju swoich miast, regionów czy poszczególnych obiektów turystycznych. Przyjeżdżają tu zarówno przedstawiciele urzędów, miast, gmin, punktów IT, a także osoby prowadzące własne firmy działające w turystyce. Jak co roku oferta przedstawiana na Targach jest bardzo bogata i różnorodna. Nic zatem dziwnego, że zainteresowanych, aby dowiedzieć się czegoś nowego, przybywa zawsze bardzo dużo. A żeby tylko obejść wszystkie stoiska należy poświęcić kilka godzin. Jeśli zaś chcemy przyjrzeć się bliżej niektórym propozycjom to jest to już wyprawa na cały dzień.



Laureaci XXI PKKiT w Poznaniu

Nas jednak interesuje impreza towarzysząca TOUR SALONOWI, którą jest zorganizowany po raz XXI Ogólnopolski Przegląd Książki Krajoznawczej i Turystycznej. Przegląd organizowany jest przez Międzynarodowe Targi Poznańskie; Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze, w imieniu którego działa Komisja Krajoznawcza ZG, Oddział Poznański PTTK i Wielkopolski Klub Publicystów Krajoznawczych; oraz Urząd Marszałkowski w Poznaniu. Ranga zatem Przeglądu jest bardzo duża. Co prawda nie ma tutaj nagród rzeczowych jednak sam udział w Przeglądzie jest dla zgłoszonych wydawców bardzo ważny. Mogą oni pokazać nie tylko dobrze wydane pozycje (to jest niejako normą) ale mogą zaprezentować pomysły na to jak ukazywać piękno poszczególnych regionów naszego kraju tak by pokazane w formie książki, folderu, mapy czy albumu było na tyle atrakcyjne, że każdy turysta sięgnie po taką właśnie pozycję. Jest to niezwykle trudne jak i ważne w naszych czasach, czasach nowinek elektronicznych. Często bowiem, zwłaszcza ludzie młodzi, wybierają nowoczesne środki przekazu, pomijając tradycyjną formę papierową. Dlatego wydawcy, muszą nadążać za tym trendem, coraz częściej wydają swoje pozycje na takich właśnie nośnikach. Jednak nie oznacza to, że odchodzimy od formy papierowej. Nie, taka tradycyjna forma wciąż ma się dobrze, bo każdy, nawet najbardziej nowoczesny czytelnik, od czasu do czasu zapraśnie wziąć do ręki piękny album czy

ciekawy informator. Leży to przecież w naturze człowieka. Każdy chce móc delektować się pięknem, niekoniecznie włączając przy tym komputer.

Dlatego wychodząc takim osobom naprzeciw organizatorzy Przeglądu wybrali z nadesłanych około 100. pozycji te, które zdaniem jury tegorocznego Przeglądu najbardziej na to zasłużyły. Kryteria jakim poddano ocenie są różne, dlatego niektórzy mogą czasami odnieść mylne wrażenie, że to inna pozycja powinna być nagrodzona. Jest to jednak odczucie indywidualnego odbiorcy. Członkowie jury podjęli swoje decyzje na podstawie regulaminu, który ściśle precyzuje kryteria jakim podlegają nadesłane wydawnictwa, jak i oczywiście na podstawie swoich osobistych odczuć. Są oni bowiem osobami znającymi się na rzeczy, są autorami, wydawcami, są ludźmi pracującymi dla rynku księgarskiego. Dlatego można powiedzieć, że Przegląd nasz stoi na wysokim poziomie i jego wyniki są miarodajne jeśli chodzi o rynek publikacji krajoznawczych i turystycznych.



Stoisko Przeglądu na Targach w Poznaniu

Aby jednak wydawcy, którzy zgłosili swoje prace na Przegląd zostali odpowiednio uhonorowani otrzymują Dyplomy Przeglądu wręczone uroczystie przy błyskach fleszy aparatów fotograficznych i szumie kamery telewizyjnej podczas gali organizowanej na terenie targów. Tym razem ta miła uroczystość odbyła się w piątek 26 października 2012 roku. Wśród osób wręczających wyróżnienia byli: Dyrektor Anna Lamańska (Targi Poznańskie), Prezes Lech Drożdżyński (ZG PTTK), Andrzej Kaleniewicz (Urząd Marszałkowski), Bogdan Kucharski (Wielkopolski Klub Publicystów Krajoznawczych), Maciej Maśliński (Komisja Krajoznawcza ZG PTTK). Był także obecny Senator RP Marian Poślednik. Całość poprowadził Zbigniew Szmidt (WKPK) autor popularnych przewodników po Wielkopolsce oraz znany fotograf. Sprawami technicznymi zajmowała się Komandor Przeglądu Pani Aleksandra Warczyńska.

Muszę przyznać, że tegoroczna uroczystość przebiegła, tak jak zwykle, w bardzo miłej atmosferze, oraz pozwoliła na spotkanie zarówno organizatorów jak i przedstawicieli wydawców czy autorów, którzy odpowiadając na zadawane im pytania zdradzali wiele tajemnic i dzielili się niezwykle ciekawostkami ze swojej pracy nad poszczególnymi pozycjami.

Oto lista nagrodzonych w rozbiu na poszczególne kategorie:

Albumy krajoznawcze

I miejsce - Wiesław Lipiec. **Roztocze**. Wydawnictwo Lipiec

II miejsce - Jacek Bartczak. **Dawny Powiat Odolanowski na starych pocztówkach 1887 - 1932**. Urząd

Gminy i Miasta Raszków

III miejsce - Marek Kaczmarczyk. **Nad dachami Poznania**. Bogucki Wydawnictwo Naukowe

Przewodniki

I miejsce - Stanisław Kłos. **Bieszczady. Ostatni taki zakątek**. Sport i Turystyka – Muza S.A.

II miejsce - Kazimierz Kunicki, Tomasz Ławecki, Liliana Olchowik-Adamowska. **Śladami słynnych zbrodni. Przewodnik**. Wydawnictwo BOSZ

III miejsce – Józef Tworek. **Kajakiem po Bugu. Przewodnik turystyczny**. Amistad Sp. Z o.o. na zlecenie Urzędu Marszałkowskiego Województwa Lubelskiego

Monografie i inne opracowania krajoznawcze

I miejsce – Krzysztof R. Mazurski. **Historia turystyki sudeckiej**. Oficyna Wydawnicza „Wierchy” Centralnego Ośrodka Turystyki Górskiej PTTK

II miejsce – **Kamionna w Dolinie Kamionki**. Red. Włodzimierz Łęcki. Drukarnia – Międzychód na zlecenie Fundacji Obchodów 750-lecia Kamionny

III miejsce – Tadeusz Jędrysiak, Armin Mikos von Rohrscheidt. **Militarna turystyka kulturowa**. Polskie Wydawnictwo Ekonomiczne S.A.

Mapy i atlasy

I miejsce – Województwo Lubelskie. **Mapa turystyki wodnej; Województwo Lubelskie. Mapa turystyczna; Województwo Lubelskie. Mapa turystyki zimowej**. Kartpol na zlecenie Departamentu Promocji i Turystyki Urzędu Marszałkowskiego Województwa Lubelskiego

II miejsce - Arkadiusz Woźniakowski. **Mapa fortyfikacji Półwyspu Helskiego**. Studio Projektowe Arkadiusz Woźniakowski

III miejsce - Roksana Knapik, Piotr Migoń. **Atlas. Georóżnorodność i atrakcje geoturystyczne Karkonoskiego Parku Narodowego i Otuliny**. Karkonoski Park Narodowy

Informatory krajoznawcze i foldery

I miejsce – **Szlakiem krzyży pokutnych po obu stronach Odry**. Lubuska Regionalna Organizacja Turystyczna „LOTUR”

II miejsce – **Rowerem przez lubelskie. Informator turystyczny**. Lubelski Związek Stowarzyszeń Agroturystycznych; **Smak lubelskiej wsi**. Anna Łukomska; **Smak rodzinnych wypraw**. Amistad Sp. Z o.o.; na zlecenie Urzędu Marszałkowskiego Województwa Lubelskiego

III miejsce - Krzysztof Bzowski. **Powiat Limanowski. Przewodnik turystyczny po Powiecie Limanowskim**. Starostwo powiatowe w Limanowej

Oprócz nagród głównych przyznano także

Wyróżnienie Wojewody Wielkopolskiego dla pozycji Andrzeja Kuźmińskiego. **Podróże z Panem Tadeuszem**. Lokalna Grupa Działania Gościnna Wielkopolska

Dyplom Prezesa ZG PTTK dla Komisji Historii i Tradycji ZG PTTK za **Studia i materiały z dziejów krajoznawstwa polskiego**

Dyplom Komisji Krajoznawczej ZG PTTK dla Wydawnictwa PTTK „Kraj” za wydanie **Kanonu krajoznawczego województwa łódzkiego**.

Na koniec chciałbym jeszcze podkreślić, iż dzięki Targom Poznańskim, umożliwiono prezentację wszystkich, bez wyjątku, nadesłanych pozycji na specjalnym stoisku targowym ustawionym w bardzo dobrym miejscu. Pozycje wyróżnione na Przeglądzie zostały wyeksponowane w oddzielnych gablotach i właśnie to było największą "nagrodą" dla ich wydawców. Nie ma bowiem wartości większej jak dzielenie się dobrymi wydawnictwami z ludźmi, dla których są one przeznaczone. A, że jest to prawidłowe myślenie niech świadczy fakt zadawania wielu pytań przez

odwiedzających nasze stoisko. Możemy zatem powiedzieć, iż podstawowe założenie Przeglądu zostało w pełni zrealizowane.

Dolnośląski Zlot Przodowników TP 2012 we Wleniu (zimowy)

W roku obecnym czyli 2012 Dolnośląski Zlot Przodowników Turystyki Pieszej odbył się w dniach 26-28 października we Wleniu. Bezpośrednim organizatorem 48. Zlotu był Oddział PTTK "Ziemi Lwóweckiej" w Lwówku Śląskim. Mimo, iż połączenia komunikacyjne nie zachęcały potencjalnych uczestników do przybycia tu, na imprezę zgłosiło się dużo więcej osób niż planowano. Spowodowało to nieco kłopotów organizacyjnych ale działacze z Lwówka postanowili przyjąć wszystkich chętnych, zwłaszcza, iż wiele osób przybyło z odległych zakątków kraju. Na bazę zlotową



Paweł Idzik Komandor Zlotu

wybrano Pałac Książęcy we Wleniu, którego właściciel szybko dostosował posiadany potencjał do podjęcia tak licznej grupy (ponad sześćdziesiąt osób). Nic zatem nie mogło stanąć na drodze do celu, którym było pokazanie piękna tego niedocenianego zakątka Polski. Trasy zostały tak zaplanowane, żeby pokazać nie tylko te najważniejsze i najbardziej znane obiekty ale także te mniej odwiedzane a jakże ciekawe, czasami nawet wywołujące zaskoczenie wśród turystów. Mamy bowiem wśród naszych mieszkańców wielu ludzi pozytywnie zakręconych, którzy w realizowaniu swoich pasji stworzyli nowe, niespotykane do tej pory walory krajoznawcze. I właśnie takich ludzi i takie miejsca postanowiono pokazać podczas tegorocznego Zlotu.

Już w piątek popołudniu, podczas tzw. wycieczki przedzlotowej, wyruszono na Pogórze Kaczawskie i zdobyto najwyższy szczyt, Ostrzycę Proboszczowicką, będącą wygasłym wulkanem. A nie było to wcale takie łatwe. Mimo, iż Ostrzyca mierzy zaledwie 501 metrów npm to pokonanie ponad 400 schodów wymaga włożenia weń ogromnego wysiłku. Jednak widoki jakie będą udziałem tych, którzy podejmą ten wysiłek w zupełności zrekompensują im wszelkie trudy. Oprócz widoków zobaczą oni wiele gatunków bardzo rzadkich roślin, a także będą mieli okazję poczuć na własnej skórze dreszczyk emocji związany z faktem przebywania na terenach, gdzie w latach powojennych grasowała banda Czarnego Janka. Ówczesnym stróżom prawa

zajął kilka lat zanim uporali się z tym problemem i ujęli rabusiów.

We wsi Bystrzyca obejrzano kościół p.w. Matki Boskiej z Lourdes i obok dworu rodziny von Braun dotarło do 800-letniego cisa, posadzonego przez mieszkańców, chcących w ten sposób oddać cześć fundatorce kościoła, księżnej Jadwidze. Najbardziej znaną osobą pochodzącą z Bystrzycy był Werner von Braun – współtwórca pocisków balistycznych V-2, po wojnie uczestnik amerykańskiego programu kosmicznego, dyrektor NASA.

Wieczorem podczas spotkania z właścicielem pałacu, panem Sławomirem Osieckim, w nastrojowej atmosferze (przy świecach) przedstawiono historię tego obiektu a także jego losy powojenne, kiedy to niemal doprowadzono do zagłady pałacu. Na szczęście znaleźli się ludzie, którzy dostrzegając piękno budowli postanowili go uratować. Pierwszą z tych osób był dyrektor Zakładu Transportowego Poczty Polskiej, który startując w przetargu na rozbiórkę zagrażającej zawaleniem budowli zdecydował się odkupić go i wyremontować z przeznaczeniem na ośrodek wypoczynkowy.

Drugą osobą jest obecny właściciel, który nabył pałac w 2004 roku i wkładając weń środki finansowe a przede wszystkim serce zaczął realizować swój pomysł na życie. Postanowił on przenieść się tutaj z drugiego końca kraju i stworzyć swoje miejsce na ziemi. A ile kosztowało go to wysiłku i jakim przeciwnościom musiał stawić czoła, jest sprawą niewyobrażalną. Dobrze stało się, iż pan Sławomir nie poddał się i przewyciężył, jak do tej pory, wszystkie kłopoty. Dzięki temu totalna ruina zamienia się w cacuszko. Powoli Pałac Książęcy staje się miejscem rozpoznawalnym, miejscem do którego zaczynają zmierzać turyści, a także miejscem, w którym państwo Osieccy znaleźli swój nowy dom. Bo przecież wiele zarówno pomysłów jak i działań jest zasługą Bożeny Osieckiej, która nie tylko wspiera w tych działaniach swojego męża, ale często jest głównym sprawcą tych poczynań.

Dzięki prawie dziesięcioletnim wysiłkom pałac jest w dniu dzisiejszym jedną z wizytówek Wlenia. Szkoda tylko, że jego otoczenie nie bardzo pasuje do całości. Ale i to może zmienić się niebawem. Pojawiła się taka szansa. Państwo Osieccy remontując i odbudowując pałac starają się wszystkie prowadzone prace tak realizować by obiekt niczym nie różnił się od swojego przedstawienia na starych widokówkach i zdjęciach, których dziesiątki zgromadzili w swojej bibliotece.

Dla nas bardzo ważnym punktem tego wieczoru były egzaminy na przodowników TP oraz na rozszerzenia uprawnień. Bez nich kadra nie rozwijałaby się. Tym razem do egzaminów przystąpiło aż 13 osób. To dobrze. Miłym akcentem było wręczenie Mirosławowi Kobiałce z Lwówka Śląskiego dyplomu „Za zasługi w turystyce pieszej” przyznanego przez Komisję Turystyki Pieszej ZG PTTK.

Gdy wyruszyliśmy w sobotni poranek na zaplanowaną trasę świat na zewnątrz był już cały biały. Wszystko zostało zasypane śniegiem. Co prawda nie było zimno ale oto jesienna impreza, chyba po raz pierwszy w historii, stała się imprezą zimową. Nic jednak nie mogło przeszkodzić nam w realizacji planu. Ruszyliśmy do Pławnej, gdzie od kilku lat realizuje swoje pasje Dariusz Miliński, bardzo zdolny artysta, tworzący przede wszystkim obrazy ale także, niejednokrotnie zaskakujące rzeźby. Człowiek ten stworzył w niewielkiej wiosce miejsce zwane Zamkiem Legend Śląskich. W bardzo ciekawy sposób przekazuje treści legend związanych z tymi terenami ale także prowadzi tutaj warsztaty artystyczne. Niestety tym razem musieliśmy obejrzeć to miejsce na "sucho". Okazało się, że nocne opady mokrego a więc bardzo ciężkiego śniegu zerwały linie energetyczne i w okolicy nie było prądu.

Podjeżdżając nieco wyżej do kolejnego, właśnie stworzonego przez pana Dariusza, muzeum mogliśmy zobaczyć setki jeśli nie tysiące zgromadzonych tu, a tym samym uratowanych od zniszczenia eksponatów. Muzeum utworzono w domu rodziny Dittrich, znanej z wyrobu butów, dlatego możemy zobaczyć warsztat szewski. Pan Dariusz poznał tu wszelkie znalezione przez siebie w okolicznych lasach rzeczy używane kiedyś w gospodarstwie domowym. Wiele eksponatów otrzymał czy odkupił od mieszkańców, którzy znaleźli je na strychach swoich domów. Ale sporo, zwłaszcza starych fotografii, otrzymał i wciąż otrzymuje od odwiedzających to miejsce dawnych mieszkańców, którzy widząc co zostało tu stworzone starają się dołożyć swoją cegiełkę do zgromadzonych już zbiorów. Zwłaszcza, że często starsze osoby rozpoznają na prezentowanych zdjęciach siebie lub swoją rodzinę. Trzeba powiedzieć, że mimo, iż muzeum dopiero powstało (otwarcie miało miejsce 26 maja 2012 roku) to już budzi wielkie zainteresowanie. Emocje wywołuje także sama nazwa Muzeum Przesiedleńców i Wypędzonych.

Pławna to oczywiście nie tylko ciekawe miejsca stworzone dzisiaj. To także, tak jak w każdej miejscowości, zabytki przedwojenne. Nas akurat zainteresował kościół p.w. św. Tekli z pięknym ołtarzem i ustawionym przy schodach prowadzących do niego kamiennym krzyżem pokutnym, oraz ufundowaną w 1854 roku przez Karola Hoferichtera kalwarią, której renowację zlecił w latach 1992-4 prawnuk fundatora, Johannes. Ze względu jednak na śnieg przykrywający spadłe z drzew liście nie zaryzykowaliśmy podejścia pod górę i później zejścia po kilkudziesięciu schodach w dół. Było zbyt ślisko.

Po dotarciu do Lubomierza wszyscy oczywiście byli pewni, że odwiedzimy Muzeum Kargula I Pawlaka. Nie pomylili się. Opiekujący się zbiorami pracownik zaprezentował nam zgromadzone eksponaty ale także zaprosił do kina gdzie obejrzelśmy urywki filmu „Sami swoi” kręcone w Lubomierzu.

Podczas oglądania ratusza niektórzy widząc przytuloną do niego kolumnę złożoną z kamiennych segmentów nie chcieli uwierzyć, że jest to oryginalny stary pręgierz. Gdy dotarliśmy do drugiego pręgierza, tym razem kościelnego, nie było już obiekcji, chociaż ten akurat zachował się tylko w formie szczątkowej.

Jak zwykle niesamowite wrażenie sprawiło na wszystkich Muzeum Habitów, w którym zgromadzono habity noszone przez zakonnice z różnych zakonów. Różniły się one oczywiście zarówno kolorami jak krojem. Ale także wielkością, bo np. inną długość miały te używane do modlitwy czy te typowo robocze. Pierwsze były bardziej "dostojne" drugie uszyto tak by nie przeszkadzały podczas wykonywania pracy. Ponieważ zgromadzone tu habity są wyświęcone usytuowano je tak by nie było możliwości ich profanacji. Dla chcących jednak zrobić sobie pamiątkowe zdjęcie wisi przy drzwiach służbowy habit.

Gdy dowiedzieliśmy się o życiu mniszek w dawnych czasach i historii klasztoru oraz roli jaką zakon odegrał na tych ziemiach mogliśmy zwiedzić zarówno wirydarz jak i kaplicę klauzurową, w której modliły się żyjące tu zakonnice, uczestnicząc w życiu duchowym, jednak bez bezpośredniego kontaktu ze światem zewnętrznym. Podstawowym zadaniem mniszek było upiększanie mszy śpiewem. Konstrukcja kościoła, zarówno tego dla wiernych jak i klauzurowego, pozwalała na wzajemne przenikanie dźwięków. Po wyposażeniu tego miejsca widzimy jak bogate były mniszki. Nic jednak w tym dziwnego, gdyż matka przełożona klasztoru przedstawiana na obrazie jako kobieta dzierżąca w dłoni pastorał z figurką św. Maternusa, posiadała władzę absolutną. Podlegała tylko papieżowi. A ponieważ dysponowały one rozległym majątkiem, którym zarządzały z wielką wprawą ich zyski były olbrzymie. Nic więc dziwnego, że w 1810 roku kiedy to król pruski Fryderyk Wilhelm III musząc zapłacić kontrybucję po przegranej wojnie podjął decyzję o sekularyzacji dóbr kościelnych. Myślał, że tą drogą zdobędzie potrzebne pieniądze. Jednak w Lubomierzu nie osiągnięto w pełni zamierzonego celu. Oczywiście przejęto olbrzymie budowle, ale nie znaleziono żadnej gotówki. Ostatnia opatka Barbara Friedrich powiązana z lożą masońską wiedząc o takich zamiarach zdążyła ukryć pieniądze w bezpiecznym miejscu. A że dobrze to zrobiła świadczy fakt, iż znaleziono je dopiero przypadkowo w latach 60-tych XX wieku. Niestety nie przyniosły one korzyści znalazcom, którzy trafili za kratki. Sam zaś ogromny skarb trafiając w ręce służb specjalnych przepadł bezpowrotnie.

Przechodząc do kościoła Wniebowzięcia NMP i św. Maternusa mieliśmy okazję zobaczyć jego zarówno ogrom jak i niecodzienne piękno. Przez kilka ostatnich lat prowadzono tu prace renowacyjne. Aby zachować w pamięci zdarzenie noszące znamiona cudu pozostawiono w suficie mały otwór w miejscu, w którym pod koniec II wojny światowej wpadł pocisk. Dzięki temu, że nie wybuchł zniszczeniu uległo tylko sklepienie. Świątynia zaś pozostała nienaruszona.

Teraz czekała nas miła niespodzianka. Gdy podjechaliśmy do miejscowości Kamień koło Świeradowa Zdroju w Szkolnym Schronisku Młodzieżowym "Halny" czekali na nas Iza i Wojciech Król (Prezes Oddziału Ziemi Lwóweckiej), którzy przygotowali poczęstunek. Mogliśmy skosztować pysznej kawy i ciasteczek. Sam obiekt obchodził niedawno 35-rocznicę działalności. Jest tu wspaniały kominek zrobiony z zielonych rzeźbionych kafli piecowych.

Po odpoczynku w tak miłym miejscu odwiedziliśmy Gryfów Śląski, gdzie oczywiście wybraliśmy się do najcenniejszego zabytku jakim jest kościół św. Jadwigi. Znajdują się w nim ołtarz z symbolami Cierpliwości, Roztropności, Nadziei, Sprawiedliwości i Miłości. Gdy jest on składany przybiera kształt monstrancji. W bocznej kaplicy znajduje się tu cało postaciowe epitafium członków rodziny Schaffgottschów. Jest tutaj także jedyny w swoim rodzaju strop pokryty ozdobami o motywach roślinnych wykonanych metodą sgrafittii. Książdz który nas przyjął opowiedział jak podczas renowacji rozebrano ołtarz na elementy pierwsze. Okazało się, iż w całym ołtarzu było zaledwie 17 metalowych łączników umieszczonych tam wtórnie. Wcześniej wszystkie elementy były dopasowane tak, że zazębiały się specjalnymi zamkami. Jedna z uczestniczek wycieczki zdradziła nam, że była chrzczona w tym kościele oraz tutaj odbyła się jej ceremonia ślubna.

Dla równowagi zajrzeliśmy do kamienicy na sąsiedniej ulicy. Znajduje się w niej ciekawa klatka schodowa. Zdradzę, że wiele lat temu, gdy pierwszy raz oglądałem to miejsce dotarłem do pomieszczenia na ostatnim piętrze, w którym pomiędzy oknami znajdowały się olbrzymie

kryształowe lustra. Gdy lokal ten sprzedano miasto przeniosło lustra i możemy je dzisiaj podziwiać w sali ślubów oraz w nowym punkcie informacji turystycznej.

W końcu nadeszła pora na posiłek. Musieliśmy jednak pokonać jeszcze kilkanaście kilometrów jadąc bocznymi drogami. Okazało się to bardzo trudne i niebezpieczne. Wyjeżdżając z Gradówka widzimy dwa autobusy stojące niemal w poprzek drogi. Nie dały one rady podjechać pod górkę. Jest tak źle, że nawet samochody osobowe ześlizgują się z drogi. Widać, iż kierowcy nie zmienili jeszcze opon na zimowe. Ponieważ za chwilę droga będzie całkowicie zablokowana, a dostrzeżliśmy możliwość przemknięcia przez pozostałą szczelinę, nasz kierowca decyduje się wykonać ten niebezpieczny manewr. Powolutku przesuwamy się w dół i możemy mówić o wielkim szczęściu. Jedziemy dalej. Śnieg wciąż sypie. Co prawda widzimy nadjeżdżającą piaskarkę ale czy to coś da? Widzimy przed nami jakąś dziwną przyczepkę. Gdy równamy się z nią okazuje się, że to pędzi rowerzysta. Zasuwa tak jakby w ogóle nie widział co dzieje się na drodze. Od patrzenia na niego zrobiło nam się zimno. Dobrze, że dotarliśmy do Lwówka gdzie zjemy obiad. Na pewno podniesie to nasze nastroje.

Wreszcie dotarliśmy do Lwówka Śląskiego. Jest to miasto z zachowanymi prawie w całości murami miejskimi. Najpiękniejszym jednak obiektem jest ratusz nie mający sobie równych, poza tym we Wrocławiu. Pierwszy obiekt zbudowano trzykrotnie większy niż we Wrocławiu. Później jednak oba miasta podejmowały prace przy kolejnych rozbudowach.

Na początku oglądamy wystawę agatów zorganizowaną jako pokłosie Lwóweckiego Lata Agatowego, które odbyło się tu już po raz piętnasty. Tak pięknych kamieni nie widzieliśmy już dawno. Dalej ma nas oprowadzać Michał Mruk pracujący w miejscowej informacji turystycznej. Zanim jednak ruszyliśmy najbardziej obleganym pomieszczeniem w ratuszu okazało się to, w którym wystawiono pieczętkę. Zbierający różne odznaki nie mogli odpuścić takiej okazji. W sumie uczciwie trzeba powiedzieć, że ani loch głodowy ani sala tortur nie wzbudziły takiego zainteresowania jak sala ślubów powstała specjalnie do oprawy tak doniosłej uroczystości. Ślub bowiem jest wejściem w nowe życie. Dlatego ówczesnie rządzący zdecydowali o powstaniu tej sali. Zadbano oczywiście o stosowny wystrój. Znajduje się tutaj wizerunek dziewczyny, która ponoć wciąż szuka swego kochanego i gdy jakaś para młoda wchodzi tutaj ta nie spuszcza oka z pana młodego. Kiedyś nowożeńców wypuszczano przez wąskie drzwi znajdujące się w bocznej ścianie. Miało to wyłonić tego kto będzie głową domu. Zbyt często dochodziło jednak do kłótni więc zakazano tego i od tej pory nowożeńcy opuszczają urząd w zgodzie. Niestety zaniechano także dobrego zwyczaju dotykania splecionych dłoni pary księżęcej na umieszczonej po drugiej stronie korytarza płycie nagrobnej z XIV wieku. Aby jednak ukazać jak wielkim uczuciem jest miłość możemy zobaczyć umieszczoną w sali o wyjątkowym sklepieniu zwanym władysławowskim, rzeźbę przedstawiającą strażnika miejskiego i jego wybrankę. Gdy mieszkańcy grodu nie chcieli zgodzić się na ich związek uważając go za niegodny, ci rzucili się z wieży ponosząc śmierć. Pokazali tym samym, że prawdziwa miłość, gdy zabrania się jej, warta jest poświęcenia życia. My na szczęście nie mamy dzisiaj takich problemów.

Po powrocie do pałacu okazało się, że prądu nie ma także w tej części Wlenia. Dlatego zaplanowane obrady rozpoczęliśmy przy świecach. Przypomniano wszystkim przebieg głównych imprez pieszych na naszym terenie w mijającym roku. Były to: styczniowa Narada Turystów Pieszych, Spotkanie Na Szlaku, Ogólnopolski i Dolnośląski Złot Przodowników TP, Ogólnopolski Wysokokwalifikowany Rajd Pieszy. Oczywiście wszystkie te imprezy zostaną powtórzone w roku następnym. Ogólnopolski Złot PTP odbędzie się w Gdańsku, OWRP w Górach Świętokrzyskich, Styczniowa Narada w Jaworze, Złot Dolnośląski organizuje Koło Ducha Gór w Dusznikach zrzeszone w Oddziale w Kłodzku, Spotkanie Na Szlaku odbędzie się w Lubinie.

Prowadzący spotkanie przewodniczący Dolnośląskiego Zespołu Turystów Pieszych Henryk Antkowiak przypomniał o jubileuszu 60-lecia Komisji Turystyki Pieszej ZG PTTK jaki przypada w tym roku. Uroczystości centralne z tej okazji odbędą się 1 grudnia 2012 roku w Warszawie. Ustanowiono także odznakę 60-lecia KTP. Przypomniał również, że w przyszłym roku odbędą się wybory zarówno do władz PTTK jak i poszczególnych komisji, w tym Komisji Turystyki Pieszej. Ponieważ zasadą jest, że wyróżnienia nadawane przez KTP wręczane są tylko obecnym na imprezie skorzystano z faktu obecności kilku działaczy i wręczono im zaległe dyplomy. Wręczono także legitymacje przodownicze.

Paweł Idzik, komandor tegorocznego Złotu poprosił wszystkich by uczcili minutą ciszy zmarłego w tym roku kolegę z Jeleniej Góry Andrzeja Grzybowicza oraz pozostałych przodowników wędrujących już po niebieskich szlakach. Paweł przypomniał jak ważną rolę odgrywają w naszym Towarzystwie działacze, dla których ważnym jest dobro naszego Towarzystwa i jego rozwój. Powiedział, że sam spotkał na swojej drodze, jako młody chłopak, takich ludzi, i że to właśnie dzięki nim utwierdził się w przekonaniu, że warto dalej pracować i podejmować trud realizacji kolejnych pomysłów. W tym wypadku byli to Wiktor Gumprecht dzięki któremu Paweł realizuje swoje pasje jako Przodownik TP oraz Krzysztof Tęcza, który z kolei wpłynął na jego działania dla krajoznawstwa. Paweł poprosił by inni działacze rozejrzeli się wokół siebie by zobaczyć czy nie dostrzegą takich pozytywnie zakręconych "wariatów" i by ukierunkowali ich poczynania w odpowiednią stronę. Taka pomoc w odpowiednim momencie jest bardzo ważna dla młodego, początkującego działacza. Komandor przedstawił także swój Oddział. Przypomniał, że w 1962 roku, a więc równo pół wieku temu, był on organizatorem III Okręgowego Złotu PTP!

Najważniejszym momentem było przekazanie laski złotowej przedstawicielowi Jawora, gdzie spotkamy się w roku przyszłym.

Po takich słowach można było już tylko podzielić się w podgrupy i powspominać wspólne dokonania i imprezy. Nastrój jednak, ze względu na rozstawione wszędzie świece, pozwalał mieć nadzieję na spotkanie ducha zamordowanej tu Dorothei, ostatniej przed wojną właścicielki pałacu. Niestety w nocy nikt nie zauważył krążącego ducha i po śniadaniu wyruszyliśmy na trasę. Ze względu na panującą zimę tym razem podstawiono dwa mniejsze autobusy licząc się z tym, że dużym pojazdem nie wszędzie byśmy dojechali. Okazało się to zbawienne. Nieraz bowiem przyszło nam wysiadać z autobusu by odciągać z drogi powalone drzewa czy odłamane konary.



Rodzinne zdjęcie przed Pałacem Książęcym we Wleniu

Zanim jednak ruszyliśmy piszący te słowa wstał z samego ranka i gdy wszyscy jeszcze spali ulepił wielkiego bałwana, wyposażonego w kamienne guziki, oczy, nos i usta wykonane z szyszek sumaka oraz czapkę z odznaką złotową i mopa pożyczonego z kuchni. Dlatego zaraz po śniadaniu poproszono wszystkich chętnych do pamiątkowego zdjęcia przy bałwanie. I mimo dopatrywania się przez niektórych jakichś podtekstów nie było takowych. Bałwan miał tylko symbolizować zimę która nastąpiła.

Zadowoleni poszliśmy na zapórę w Pilchowicach. Większość z nas jeszcze nie oglądała tego miejsca w takiej scenerii. Na tamie zawieszono w lecie nową tablicę z okazji 100-lecia budowli.

I znowu jadąc wąską drogą musieliśmy usuwać wywroty leżące na asfalcie. Nie narzekaliśmy jednak. Było to dla nas nawet ciekawe. Ze względu na trudne warunki Paweł podjął decyzję o rezygnacji ze spaceru przez Dziki Wąwóz. Mogłoby to mieć fatalne skutki. Dlatego od razu podjechaliśmy pod pałac Lenno. Chociaż nie obyło się bez problemów. Drugi autobus omijając drzewo zjechał na pobocze i nie mógł już podjechać pod górę. Wszelkie próby pokonania tego odcinka kończyły się paleniem opon. Udało się to dopiero po cofnięciu i nabraniu rozpędu. Na szczęście była to już ostatnia górka na trasie.

Zapoznaliśmy się z pracami jakie wykonano w pałacu a później zajrzeliśmy do kościółka św. Jadwigi Śląskiej. Jakież okazał się on inny w porównaniu z tym w Radomicach, gdzie zajrzeliśmy najpierw. Tam widzieliśmy wspaniałą ołtarz tryptykowy, a tutaj umieszczoną w ołtarzu figurkę Matki Boskiej trzymającą na kolanach dzieciątko. Pozostało nam tylko podejść ostrożnie na szczyt i obejrzeć zamek. Niestety nie udało się nam wejść na wieżę, bo akurat wylano w niej posadzkę i musiała ona przeschnąć. Nie widzieliśmy zatem panoramy Wlenia ale za to zwiedziliśmy samą warownię. Schodząc na dół widzieliśmy jak gromadzą się ludzie przy kościółku. Niebawem ma rozpocząć się tutaj msza. Zobaczyliśmy także dwie zakonnice, które na nogach miały założone prawdziwe górskie buty. Takie same w jakich sami chodzimy. Trzeba przyznać, że nawet pasowały one do habitów.

We Wleniu rozstaliśmy się z naszymi kierowcami i ruszyliśmy na pieszy spacer po mieście. Obejrzeliśmy krzyż pokutny. Niestety ciekawszy krzyż stojący przy ścieżce na zamek był poza naszym zasięgiem. A szkoda bo podczas zorganizowanej tu Biesiady Pokutnej uczestniczący w niej Bracia naprawili złamany krzyż nawiercając dziury i wkładając w nie stalowy bolec a następnie stosując zaprawę klejową scalili obie części. Naprawa była skuteczna i do dzisiaj nic się złego z krzyżem nie dzieje. W kościele parafialnym spotkaliśmy księdza spieszącego by odprawić mszę w kościółku przy zamku. Podeszliśmy pod klasztor Elżbietanek, które prowadzą tu sanatorium i obok miejsca upamiętniającego walki o miasto za czasów napoleońskich dotarliśmy do pałacu.

Po obiedzie były podziękowania i pożegnania oraz umawianie się na kolejny zlot do Jawora. Natomiast nasze, właśnie zakończone spotkanie, spełniło wszystkie założone cele. Zaprezentowano podczas niego walory turystyczno-krajoznawcze Miasta i Gminy Wleń oraz powiatu lwóweckiego. Stworzono warunki do podnoszenia kwalifikacji kadry programowej PTTK. Umożliwiono zdobywanie Regionalnej Odznaki Krajoznawczej "Przyjaciół Powiatu Lwóweckiego". Najważniejsze jednak było samo spotkanie środowiska piechurów co umożliwiło wzmocnienie kontaktów będących bardzo ważnym aspektem naszej działalności. Często bowiem dzięki takim kontaktom organizuje się nowe imprezy turystyczne. A przecież o to właśnie chodzi.

Wycieczka do Broumova

Mamy sobotę 24 listopada 2012 roku. Jest wczesny ranek. Zmierzamy w stronę teatru w Jeleniej Górze, skąd ruszymy na dzisiejszą wycieczkę. Jak na razie, mamy całkiem niezłą pogodę. Autobus przyjeżdża nieco wcześniej. Widać, że humory dopisują. Nie ma co dłużej czekać. Ruszamy. Kierowca jedzie bardzo płynnie tak, że wydaje nam się, iż płyniemy. Jednak gdy patrzymy na rzeczkę, której wody rwą w przeciwną stronę, widzimy, a nawet czujemy, jak wznosimy się coraz wyżej. Nic dziwnego, przecież mamy wjechać na Przełęcz Kowarską. Powietrze jest dzisiaj tak przejrzyste, że widać wyraźnie kontury gór. Nie ma tam zbyt wiele śniegu. Ciepłe dni zrobiły swoje. Po drodze zbieramy pozostałych uczestników. Ostatni, Jarek, wsiada na końcu Kowar. Jesteśmy w komplecie. Prowadzący, Wiktor Gumprecht, może przedstawić obiekty, które zobaczymy. Jedziemy do Czech.



Nasz przewodnik pan Jarosław - właściciel browaru w Broumovie (drugi od prawej)



Uczestnicy wycieczki do Broumova

Odwiedzimy miejscowość o nazwie Broumov. Poznajemy historię tego miasteczka. Historię, w którą wpisane są dzieje zakonników, bez których rejon ten nie rozwinąłby się tak szybko. To właśnie Benedyktyni osiedlając się tutaj spowodowali szybki rozwój miejscowości. Niestety w dniu dzisiejszym, poza potężnymi i pięknymi obiektami jakie pozostawili po sobie, praktycznie nie uczestniczą oni już w życiu gospodarczym miasta. Spowodowane jest to przede wszystkim ich małą ilością. Rządy komunistyczne, po II wojnie światowej, wprowadziły takie ograniczenia i, można powiedzieć, terror w stosunku do kościoła w Czechach, że obecnie mnichów jest ledwo kilkunastu. Urzędują oni zatem w siedzibie w Břevnovie (Praga) a obiekty odzyskane niedawno od państwa czekają na jakiś pomysł, który pozwoli racjonalnie je zagospodarować. Jeśli nie nastąpi to grozi im powolna zagłada. Na razie wzbudziły one zainteresowanie wśród turystów. Nie są to może tłumy ale na początek wystarczy. Ważne, że coś się tu dzieje, że choć niewielka część zabudowań jest wykorzystywana. Z czasem będzie tylko lepiej.

Broumov to także browarnictwo. Od wieków produkowano tu piwo. Zajmowali się tym wszyscy. Przede wszystkim zakonnicy. Obecnie browar jest w rękach prywatnych, a nowy właściciel radzi sobie całkiem nieźle. Produkuje tu ponad dwadzieścia rodzajów piw, organizuje zwiedzanie zakładu połączone z degustacją i dba by produkowane przez nikogo piwo było dobre, co w czasach istnienia wielkich kompanii piwnych produkujących piwo nowymi metodami, wcale nie jest takie łatwe.

Tym razem siedzę z przodu. Mam zatem wspaniały widok. Rozprasza go jedynie przesuwający się to w prawo, to w lewo, plecak stojący na półeczce przede mną. Wjeżdżamy do Krzeszowa. Objeżdżamy wokół pocysterski zespół klasztorny. Widzimy kościół Wniebowzięcia NMP, w którym znajduje się cudowny obraz Matki Boskiej Łaskawej, będący najstarszym wizerunkiem MB w Polsce.

Wkrótce dostrzegamy potężną skałę stojącą w polu koło drogi. To Diabelska (Czarcia) Maczuga (Skała). Kamień ten miał posłużyć urzędującemu tu diabłu do zniszczenia budowanego klasztoru. Uznał on, iż zakonnicy będą stanowili poważne zagrożenie dla pozyskiwania przez niego nowych duszyczek. Uniósł wielki kamień i leciał by zrzucić go na zabudowania klasztorne. Niestety przeliczył swoje siły i zanim dotarł na miejsce nastął świt. Wtedy kamień wypadł mu z rąk i wbijając się w ziemię pozostał tam jako przestroga.



Podczas zwiedzania browaru w Broumovie

Ale oto jesteśmy już w Broumovie. Wjeżdżamy na teren browaru, gdzie spotykamy pana Jarka, który będzie nas oprowadzał. Pierwotnie browar znajdował się w klasztorze, jednak po pożarze postanowiono przenieść produkcję w bardziej bezpieczne miejsce, tak by w razie nieszczęścia miasto ponownie nie ucierpiało. Obecny browar istnieje równieko 300 lat. Produkowane tu są piwa niefiltrowane i smakowe (z przyprawami lub owocowe). Browar w skali kraju nie należy do największych. Jednak ze względu na wykorzystywanie tradycyjnych metod produkcji ich piwo wyróżnia się wśród jednolitych produktów zalewających rynek. Tutaj stosuje się tylko wodę (z

własnej studni artezyjskiej), chmiel (z upraw koło miasta Žatec, znanych z najwyższej jakości tego surowca) i słodu.

Własna słodownia, pracująca tylko zimą, zapewnia sód na całoroczną produkcję. Początek procesu to moczenie jęczmienia, który po dwóch dniach rozłożony na wilgotnym podłożu kiełkuje wytwarzając przy tym duże ilości ciepła. Zebrany jęczmień przenosi się do komory, w której temperatura osiąga 85 stopni. Później następuje kilkumiesięczne leżakowanie. Sód pozostaje do produkcji piwa natomiast kiełkami spasa się konie. Oprowadzający nas z dumą podkreśla, że ta część zakładu powstała cały rok przed wybudowaniem wieży Eiffla.

Kolejny proces produkcji piwa odbywa się w warzelnii. Nie będę tutaj oczywiście opisywał jak on przebiega, każdy chętny znajdzie potrzebne dane. Powiem tylko, że w końcowym rezultacie otrzymuje się określoną ilość cukru w piwie. Zwykle piwo ma 12,5 % cukru. Im więcej mamy słodu tym więcej otrzymujemy cukru, a więc tym mocniejsze wychodzi nam piwo.



Zwiedzanie browaru w Broumowie

W tutejszych zakładach pracuje trzynastu ludzi mogących wzajemnie się zastępować. Potrafią oni przeprowadzić cały proces produkcji piwa. Dlatego nie ma problemu gdy któryś z nich zachoruje. Zwiedzając browar widzimy teraz wielkie kadzie fermentacyjne, których jest tutaj aż 49 sztuk. To stąd rozlewa się niefiltrowane żywe piwo do beczek. To co pozostaje filtruje się i poddaje pasteryzacji. Mówi się, że jest to proces, w którym kończy się dobre piwo. Pozostaje już tylko piwo. Obecnie piwo rozlewa się do opakowań szklanych, drewnianych jak i plastikowych. Plastikowe butelki czy beczki nie są najlepszym materiałem, jeśli chodzi o smak przechowywanego w nich piwa, ale ze względu na duże ilości produkowanego obecnie trunku, muszą być one stosowane. Inaczej się nie da. Wkrótce ludzie przyzwyczają się do tych opakowań i nie będą widzieli różnicy smakowej rozlewanej z nich napoju.

Ponieważ w browarze panuje bardzo duża wilgotność, a i temperatura raczej nie jest zbyt wysoka, wszyscy nieco zmarzliśmy. Wychodząc na dziedziniec odetchnęliśmy z ulgą czując powiew świeżego powietrza. W narożniku dostrzegliśmy ładną kaplicę, jak się okazało, będącą najstarszym obiektem w regionie. Zbudowano ją w 1601 roku. Ostatnio została ona zwrócona Benedyktynom, będącym prawowitymi właścicielami. Na potwierdzenie tego faktu widzimy dwa herby. Pierwszy na dziedzińcu, drugi bardziej okazały, wewnątrz budynku. Herb opacki składa się z dwóch tarcz. Na prawej widać ociosany konar, na lewej ukośnie trzy pasy z trzema różami na środkowym z nich. Aby osiąść resztę wiadomości o sztuce warzenia piwa udajemy się do utworzonego tutaj muzeum. Niedawno poproszono opata Benedyktynów by otworzył nową ekspozycję. Warto podkreślić, że przywrócenie do życia tego zakładu dokonane zostało ze środków własnych właściciela, bez dotacji unijnych, czemu dał wyraz wieszając stosowne tabliczki informacyjne.

Wypada w końcu powiedzieć, że oprowadzający nas pan Jarosław to właściciel browaru, natomiast jego żona jest tutaj dyrektorem. W muzeum zobaczymy ozdobne kufle do piwa, różne urządzenia stosowane w procesie produkcyjnym ale także wiele narzędzi, opakowań czy mebli. Odtworzono pomieszczenie biurowe, w którym stoi oryginalny sejf nieotwierany od niepamiętnych czasów. Jest tutaj ekspozycja związana z krótkim epizodem w historii browaru, kiedy to produkowano 35 gatunków likieru. Ciekawsze eksponaty to piła do cięcia lodu, który początkowo był głównym i w zasadzie jedynym chłodziwem używanym w zakładzie. Jest także kopia obrazu (oryginał wisi w biurze pani dyrektor) przedstawiającego całe zakłady. Zobaczymy też ciekawy termometr, który na skali obok stopni miał wypisane jakie w danej temperaturze mamy piwo. Jego skala zaczyna się na 15 stopniach a kończy na -3. „Najlepsi” piwo przypisane jest do temperatury wynoszącej 5 stopni.

Po takiej dawce wiedzy, uważając się za co najmniej prawdziwych ekspertów, udaliśmy się na degustację piwa. Na początek otrzymaliśmy po kufle Benedykta. Jest to piwo złotożółte z lekko goryczkową pianką. Jednak samo piwo wykazuje już delikatną słodycz. Oczywiście było ono podane w odpowiedniej temperaturze.

Teraz, gdy zaspokoiliśmy pragnienie, przyszła pora na prawdziwą degustację. Najpierw dostaliśmy Świąteczną 17 (naturalną). Trunek ten jest nieco ciemniejszy i trochę inaczej pachnie. Piwo pieprzowe gdy się je wacha to pieprzu prawie nie czuć, jednak gdy skosztuje się go to czuć go już wyraźnie. Chociaż można, przynajmniej początkowo, określić to posmakami. Piwo z absyntem charakteryzuje się bardzo wyraźnym zapachem, właśnie absyntu. Jednak jest to bardzo delikatny zapach. W końcu w piwie tym absynt jest tylko dodatkiem.



Klasztor Benedyktynów w Broumovie

Gdy już skosztowaliśmy kilka rodzajów piw to rozgorzały dyskusje. Wreszcie na sali zrobiło się gwarnie. Wszyscy rozmawiali o wszystkim. Nadstawilem uszu. Okazało się, że oprócz porównywania tego co widzieliśmy, wspomniano także to co przeżyto podczas innych wycieczek. Nic w tym dziwnego. W końcu za tydzień mamy oficjalne zakończenie tegorocznego sezonu turystycznego. Nie pozostało nam już nic innego jak udać się do przyzakładowego sklepiku, gdzie każdy nabył piwo, uznane przez siebie za najsmaczniejsze. Tak zaopatrzeni, po wykonaniu pamiątkowego zdjęcia przy wielkiej beczce, ruszyliśmy na zwiedzanie klasztoru.

Już samo wejście na teren klasztorny zapowiadało, że zobaczymy tu wiele pięknych dzieł sztuki. Okazało się jednak, że to co ujrzeliśmy dalej przerosło nasze oczekiwania. Tak pięknego kościoła klasztornego dawno nie widzieliśmy. Nawet ci, którzy byli tu po raz kolejny, nie kryli swojego zachwytu. Patrząc na ozdoby tu zgromadzone człowiek zastanawia się dlaczego okres w naszych dziejach nazywany barokiem musiał się skończyć. Fakt, w dzisiejszych czasach, w dobie kryzysu, pewnie nikt nie pozwoliłby sobie na takie zbytki, jednak piękno zawsze pozostanie pięknem.



Kościół klasztorny w Broumovie

Po klasztorze oprowadza nas przewodnik, który, co prawda bardzo cichutko, ale przekazuje nam wiele cennych informacji dotyczących zakonu. Dowiadujemy się, że najważniejszym jest Břevnovský klášter w dzisiejszej Pradze. Znajduje się on w miejscu, w którym św. Wojciech założył pierwszy w ogóle klasztor w Czechach. Dlatego najważniejszym dostojnikiem wśród Benedyktynów jest opat z Břevnova. Dla klasztoru w Broumovie ważnym wydarzeniem było przybycie tutaj zakonników po zniszczeniu macierzystego zakonu w Břevnovie. Nastąpił wówczas wielki rozkwit całej miejscowości.

I znowu oprowadzający nas potwierdza, że nie ma tutaj zakonników. Jest ich, jak już wspomniałem, zbyt mało. Sam klasztor w Broumovie został po II wojnie światowej uczyniony miejscem przymusowego odosobnienia duchowieństwa z całych Czech. Dlatego na miejscowym cmentarzu spotkamy tak wiele grobów zakonnic zmarłych w tamtym okresie. Były one zmuszane do

bardzo ciężkiej pracy co przy poziomie ówczesnego wyżywienia i opieki lekarskiej znacznie skracało ich życie.

Obecnie w kościele msze święte odprawiane są raz w tygodniu a w okresie letnim organizuje się tu wielkie koncerty. Pozyskani sponsorzy opłacają wykonawców a zebrane datki służą do wykonywania dalszych prac remontowych. Najpiękniejszą część kościoła to oczywiście nawa główna, na której sklepieniu namalowano sceny z życia św. Wojciecha. Ich autorem jest Felix Scheffler.

Sensacyjnym wydarzeniem było odkrycie w 1999 roku skrytki z napisem Sancta sindom czli Święte płótno. Po wyjęciu ukrytego tam rulonu okazało się, iż jest to kopia Całunu Turyńskiego. Jeszcze większą sensacją był umieszczony tam list, z którego treści dowiadujemy się, że Julius Caesar Bergiria, arcybiskup turyński, potwierdza prawdziwość kopii Całunu Turyńskiego, która została wykonana w 1651 roku i nakazuje przekazanie jej opatowi kościoła św. Mikołaja w Pradze, którym był wówczas Matthew Sobek. Docelowo kopia miała trafić do klasztoru benedyktynów w Broumovie. Obecnie kopia ta, jedna z 42 jakie wykonano, a jedyna w tej części Europy, jest eksponowana w wielkiej sali jadalnej, czyli refektarzu. Wartym zobaczenia jest także olbrzymia biblioteka z częściowo zachowanymi zbiorami. Jest tutaj 17 tysięcy woluminów. Kilka tysięcy zostało spalonych gdy klasztor przejęły władze komunistyczne. Bardzo ciekawym eksponatem jest globus, tak stary, że nie ma na nim, nieznaną wtedy Australii.

Przechadzając się po niewielkiej części udostępnionych pomieszczeń kompleksu klasztorowego widzimy ogrom tej budowli. Widzimy także jak wielkich nakładów finansowych potrzeba było wówczas na samo choćby ogrzanie pomieszczeń, i jak wielkich nakładów potrzeba jest dzisiaj by to wszystko utrzymać w jako takim stanie technicznym by nie uległo zagładzie.

Ostatnio sprowadzono tu mumie z Vamberku. Tam groziła im zagłada a tu zostały złożone w nowych otwartych trumnach, które umieszczono w klasztornych podziemiach.

Powoli kończył się dzień. Niebawem zacznie się ściemniać. Ruszyliśmy spacerkiem przez rynek obok kolumny maryjne i koło kościoła św. Wacława, by dotrzeć do najstarszego w Czechach drewnianego kościółka Najświętszej Panny Marii. W krużgankach biegnących wokół niego umieszczono wiele płyt nagrobnych, ale także bardzo ładne obrazy drogi krzyżowej. Warto tutaj przejść się po cmentarzu by obejrzyć ciekawe rzeźby ozdabiające niejedną grób.

Pozostały do powrotu czas wykorzystaliśmy na spożycie obiadu. Część z nas pozostała w restauracji naprzeciwko kościółka, część poszła do miasta. Wkrótce spotkaliśmy się przy kolumnie maryjnej i wszyscy razem zeszliśmy schodami do parkingu, na którym oczekiwał na nas kierowca. Zrobiło się już zupełnie ciemno. Wszyscy byli tak zmęczeni, że zapanowała cisza. Tylko Wiktor próbował jeszcze coś powiadać.

Kierowca bezpiecznie dowiózł nas do Jeleniej Góry i każdy ruszył w stronę domu.

OKP stopień srebrny – Warszawa (8)

Odznaka Krajoznawcza Polski stopień srebrny – Warszawa

Jak wspominałem w poprzednim opisie postanowiłem wybrać się do Warszawy, miasta które odwiedzałem już wiele razy. Pora roku może nie była zbyt ciekawa bo to październik ale cóż. Nie takie przeciwności się pokonywało. Mamy rok 2009. Zatrzymałem się u rodziny. Niestety okazało się mieć to jedną niedogodność. Otóż w Warszawie mam w zasadzie tylko wujka, ale rodzina żony to już kilkanaście osób. I gdy tylko rozeszła się wieść o naszym przyjeździe rozdzwoniły się telefony. Każdy przypominał, że nie możemy wyjechać nie odwiedzimy ich. Ba nawet kilkakrotnie musieliśmy zmieniać miejsca noclegów by nikogo nie urazić. Dlatego nasz pobyt tutaj uległ znacznemu wydłużeniu. Część obiektów zwiedzałem razem z żoną, część razem z rodziną chcącą pokazać nam coś ciekawego, co oczywiście nie zawsze było zgodne z naszymi założeniami, a część zwiedzałem sam. I to właśnie ta ostatnia część przebiegała najsprawniej.

Gdy udało nam się "wyrwać" w miasto, podjechałem z żoną na Rynek Starego Miasta. Aby ułatwić nam zwiedzanie wykupiliśmy Kartę Turysty, uprawniającą do bezpłatnych przejazdów środkami komunikacji oraz wstępów do wybranych obiektów. Okazało się to dobrym posunięciem. Bardzo ułatwiło nam przemieszczanie się po Warszawie. Bo używanie w tym celu własnego samochodu miało się z celem. Przede wszystkim z powodu braku miejsc parkingowych. Ale też zdarzały się sytuacje związane z jeżdżeniem samochodem i śmieszne i dziwne. O tym nieco później. Zaraz po wykupieniu Karty Turysty zrobiliśmy z niej użytek. Poszliśmy do Muzeum Historycznego miasta stołecznego Warszawy. I cóż się okazało. Otrzymaliśmy bilety wstępu ale ich cena opiewała na 0 (słownie zero) złotych. A więc zainwestowane pieniądze już nam zaczynały się zwracać. Pogoda była wspaniała więc nie śpieszyliśmy się specjalnie. Posiedzieliśmy sobie przy kawie oglądając to co działo się na Rynku. Następnie idąc w stronę zamku zajrzeliśmy do Katedry św. Jana Chrzciciela. Przechodząc koło niej tak się zapatrzyłem, w sumie nie wiem na co, że gdyby nie Ania to minęlibyśmy



Na terenie ZOO w Warszawie

katedrę. Jednak jej czujność pozwoliła nam zaoszczędzić czasu potrzebnego na zbędne wracanie w to miejsce. Po obejrzeniu kaplicy, w której umieszczono sarkofag kardynała Stefana Wyszyńskiego dojdziemy do zejścia do podziemnych krypt. Tutaj właśnie można otrzymać od dyżurującego księdza stosowną pieczętkę.

Na zwiedzenie Zamku Królewskiego musieliśmy przeznaczyć dużo więcej czasu. Najpierw trzeba było wykupić bilet za 28 zł, niestety tego obiektu nie ma w Karcie, a następnie poczekać aż zbierze się odpowiednia ilość turystów byśmy mogli wyruszyć na zwiedzanie razem z przewodnikiem. Ale warto było. Tym razem pani przewodnik, oprowadziła nas powolutku, nie uciekając przed kłopotliwymi pytaniami. Dowiedzieliśmy się wielu ciekawych rzeczy, o których nawet nie pomyślelibyśmy.

Kolejnego dnia wybraliśmy się, skoro świt, tzn. około południa, do Miejskiego Ogrodu Zoologicznego. Wykupiliśmy bilety po 15 zł, na których oprócz

wizerunku zielonego misia jest ładny napis „zachować do kontroli”. Niestety muszę przyznać, że byliśmy rozczarowani tym co tutaj ujrzeliśmy. Generalnie ogród sprawiał wrażenie opuszczonego. Oznaczenia nie były zbyt spójne. Inne tego typu miejsca w Polsce prezentują się dużo lepiej. Jedynym co nas spotkało tu ciekawego był widok stojącego na liściach na wodzie (w pomieszczeniu wolnych lotów) ptaka o czterech patykowatych nogach. Nie mogliśmy uwierzyć swoim oczom. Wkrótce dowiedzieliśmy się o co tu chodzi. Przyszła pani z obsługi i wyrzuciła z puszki jakieś owady. Była to bowiem pora karmienia. Wtedy dwie nogi odłączyły się od oglądanego ptaka i poszły w stronę fruujących owadów. Cóż się okazało. Te dwie dodatkowe nogi należały do maleństwa schowanego

pod skrzydłem swojej mamusi, która tak dokładnie je ukryła, że z zewnątrz widać było tylko właśnie te dwie dodatkowe nogi.

Rozbawieni tym zdarzeniem dotarliśmy do Metropolitarnej Cerkwi Prawosławnej św. Marii Magdaleny. Ten ciekawy obiekt o pięciu kopułach symbolizujących czterech ewangelistów (największa symbolizuje Chrystusa) zawsze ciekawił nas gdy przejeżdżaliśmy koło niego. Zatem z chęcią weszliśmy do środka, by obejrzeć go po raz pierwszy. Faktycznie warto było. Widok 4 - metrowych kiotów z ikonami Świętych Kościoła Prawosławnego to uczta dla naszych oczu. Ponieważ nie do końca znamy zasady obowiązujące w cerkwiach zapytaliśmy o to i owo osobę sprzedającą tu pamiątki. Dowiedzieliśmy się wtedy przy którym ikonostasie należy stawiać świece w zależności w jakiej czyni się to intencji. Oczywiście pan ten zaczął nam zaraz opowiadać o tym co widzimy. Na koniec pokazał Cudowną Ikonę Matki Bożej Iwierskiej przywiezioną tu w 1904 roku ze Świętej Góry Athos.

Muszę powiedzieć, że dzięki takim właśnie ludziom, nie dość, że zwiedzanie przebiega bardzo szybko i sprawnie to jeszcze dowiadujemy się rzeczy, których nigdy nie poznalibyśmy zwiedzając dany obiekt samodzielnie. Teraz dowiedzieliśmy się także gdzie możemy otrzymać pieczętkę, nie mieliśmy zatem z tym żadnego problemu.

Ponieważ pora była późno obiadowa, a obiecaliśmy dotrzeć na posiłek w miarę punktualnie, udaliśmy się jeszcze na Cmentarz Powązkowski. Byliśmy wcześniej tu niejednym razem, więc znając układ alejek nie błędziliśmy. Mamy tu pochowaną bliską osobę. Będąc przy jej grobie uznaliśmy, że na dzisiaj wystarczy tego zwiedzania.

Nazajutrz żona postanowiła spędzić więcej czasu z rodziną więc wyruszyłem na zwiedzanie Warszawy sam. Wybrałem zatem takie obiekty, które niekoniecznie musiały żonę interesować. Na początek dotarłem do Muzeum Wojska Polskiego. W zgromadzonych tu eksponatach bardzo ciekawym okazał się być motocykl "Sokół" 600 RTM 211 z 1938 roku. Ale muszę przyznać, że pieczętka jaką tu dysponują jest całkiem, całkiem. Równie wielkimi zbiorami może pochwalić się Muzeum Narodowe. Można je oglądać całymi godzinami, ale nie o to przecież chodzi. Każdy nadmiar wrażeń może wywołać przesyt. Ja na przykład, chodząc po salach, tak się zapatrzyłem, no i zagadałem z paniami z obsługi, że całkiem zapomniałem poprosić o pieczętkę. A później już mi się nie chciało wracać specjalnie w tym celu. Tym bardziej, że dotarłem właśnie do Ogrodu Botanicznego w Alejach Ujazdowskich. Tutaj poprosiłem o stempelek w kasie już przy kupnie biletu wstępu. Podobnie chciałem uczynić w Łazienkach Królewskich. Okazało się jednak, że to nie takie proste. Pora była już dosyć późna, więc powoli wszystko zamykano. Połączyłem zatem sobie nieco po terenie, zwiedzając co jeszcze się dało. A gdy dotarłem do tylnej bramy by stamtąd odjechać autobusem zobaczyłem budynek z tablicą informującą, iż jest tutaj siedziba Straży Muzealnej. Wszedłem zatem i poprosiłem o pieczętkę. Dowódca zmiany przybił mi ją w mojej kronice, uśmiechając się lekko. Nie wiem czy uśmiech ten był wywołany uznaniem dla mojej kroniki, którą obejrzał, czy był to uśmiech politowania dla turysty maniaka zbierającego takie dziwne pamiątki.

Kolejnego dnia, gdy powiedziałem co chcę zobaczyć, żona, mimo brzydkiej pogody, postanowiła wybrać się razem ze mną. Najpierw dotarliśmy na Czerniaków do Zespołu klasztornego Bernardynów. Kościółek, mówiąc szczerze, nie sprawiał jakiegoś nadzwyczajnego wrażenia. Do tego okazał się być zamknięty. Nie daliśmy jednak za wygraną i po kolei sprawdzaliśmy wszystkie drzwi, aż dotarliśmy do takich, przy których był dzwonek. Otworzył nam zakonnik. Z początku nie wyglądał na zachwyconego naszą wizytą ale gdy wyjaśniliśmy cel naszych odwiedzin i powiedzieliśmy z jak daleka przyjechaliśmy zmienił swoje nastawienie. Wpuścił nas do środka i od strony klasztoru zaprowadził do kościółka gdzie zamknął na dłuższą chwilę, byśmy mogli w ciszy obejrzeć sobie świątynię. Ta, tym razem, wywarła już na nas wrażenie. Ozdoby jej wnętrza czynią ją prawdziwym cacuszkiem. To tak jakbyśmy przenieśli się w inny świat. Świat piękna. Do tego jeszcze ujrzeliśmy relikwie św. Bonifacego złożone w przeszklonej trumience pod ołtarzem. No i te malowidła na sklepieniu prezbiterium. Faktycznie warto było tu przyjechać by zobaczyć coś tak ładnego. Ponieważ nie kryliśmy przed oprowadzającym zakonnikiem naszego uniesienia zaprosił nas do klasztoru. Opowiedział jego historie i pokazał kilka zakamarków. M. in. zakrystie z jej skarbami. Wiszący tam krzyż z kości słoniowej okazał się być darem od mamy znanego aktora Bronisława Pawlikowskiego, którą opiekowali się zakonnicy.

Największe jednak wrażenie wywarł na nas obraz o nazwie "Taniec śmierci". Tym bardziej, że ukazane na nim przedstawienia zostały nam dokładnie wytłumaczone.

Po zwiedzeniu tak ładnego obiektu, nie chcąc sobie psuć nastroju, dotarliśmy do Wilanowa. Akurat zaczął padać deszcz. Początkowo nie chciano sprzedać nam biletu. Okazało się, że akurat w dniu dzisiejszym wstęp jest wolny. Dlatego dostaliśmy, tak jak inni bilet darmowy. Z tego też powodu nie wypadało nam marudzić i czekaliśmy ze wszystkimi dłuższą chwilę pod drzwiami pałacu. Wreszcie nas wpuszczono i mogliśmy przez dwie godziny podziwiać zgromadzone tu dzieła sztuki. Ponieważ, jak już wspominałem, bilet w dniu dzisiejszym był darmowy, toteż nie dostaliśmy przewodnika po ekspozycji. Jednak wszystkie obiekty były ładnie opisane. Mnie akurat zainteresował obraz, który jako jedyny z całej kolekcji okazał się być nie podpisanym. Pani z obsługi była bardzo zdziwiona ale okazała się być dobrze poinformowana i nie tylko uświadomiła nas kogo przedstawiono na obrazie ale także opowiedziała prawie całe życie tej osoby. Po opuszczeniu pałacu zaczęliśmy spacerować po ogrodach, jednak pogoda szybko zmieniła nasze plany. Ewakuowaliśmy się zatem do bardzo przytulnej restauracji, gdzie zjedliśmy pyszny obiad. Jak do tej pory byliśmy bardzo zadowoleni z dzisiejszego zwiedzania, zwłaszcza, że w zamku dostaliśmy aż cztery ciekawe pieczątki.

Po posiłku zaczęło ogarniać nas zmęczenie. Postanowiliśmy zatem wracać. Ja jednak odłączyłem się i wstąpiłem jeszcze do Muzeum Powstania Warszawskiego. Słyszałem bowiem niestworzone opowieści o sposobie przedstawiania w nim ekspozycji. Faktycznie opowieści te nie były przesadzone. Zrobiło się już bardzo późno ale ponieważ podjechał autobus z napisem Port Lotniczy im. Fryderyka Chopina, wsiałem i obejrzałem to co się dało. Niestety wszystkie punkty IT były już pozamykane. Jednak dla chcącego nie ma nic trudnego. Znalazłem jakieś otwarte drzwi i dostałem pieczątkę z napisem Dział obsługi terminali. Muszę powiedzieć, że w obiekcie tym czuło się przestrzeń, a to znaczy, że niestety trzeba było się nieźle nachodzić.

Rano żona zdecydowała, że odpocznie sobie nieco. Dlatego postarałem się wybrać takie obiekty by nie żałowała, że nie poszła razem ze mną. Na początek dotarłem na Cmentarz Ewangelicko - Augsburski Parafii Św. Trójcy. Oprócz pieczątki otrzymałem tam mały informator z niezbędnymi mi wiadomościami. Byłem nieco zaskoczony gdy oglądając stare groby zobaczyłem kilkakrotnie jak przybyli tu ludzie podchodzili do stojących szafach, otwierali je wyjmując znicze i zamiennie pozostawiali w wazoniku stosowną zapłatę. Dawno już nie widziałem takiego zachowania a i takiego zaufania, w tym wypadku ze strony zarządcy cmentarza. Widok taki jest tak rzadki, że nie sposób było nie ucieszyć się z niego.

Pomyślałem, iż wizyta na kolejnym cmentarzu nie zepsuje mi dobrego nastroju. Udałem się zatem na Cmentarz Żydowski przy ulicy Okopowej. Jakież byłem zaskoczony gdy wchodząc w bramę zostałem zatrzymany przez dwóch rostrych, młodych mężczyzn. Nie mogąc się porozumieć (mówili oni do mnie po angielsku) przeszli na język migowy. Okazało się, iż chcieli zobaczyć co mam pod kurtką. Wobec tego, że lekko padał deszcz schowałem pod nią aparat fotograficzny i raportówkę z notatkami. Wyglądało to tak jakbym coś tam ukrywał. Ponieważ doszedłem do wniosku, że mężczyźni ci to jakaś ochrona rozpiąłem kurtkę i pokazałem im co tam chowam. Wtedy uśmiechnęli się przyjaźnie i bez zbędnych słów zaprosili mnie bym wszedł dalej. Gdy tylko przekroczyłem bramę z cmentarza wyszła znana aktorka Gołda Tencer. Razem ze sprawdzającymi mnie przed chwilą osobami wsiadła ona do czekającego na chodniku samochodu i odjechała. Nie do końca wiedząc jak mam zachować się na cmentarzu żydowskim poszedłem do biura gdzie uświadomiono mi, że powinienem założyć jakieś nakrycie głowy by okazać szacunek zmarłym. Ponieważ padał deszcz wystarczyło iż założyłem kaptur. Jakież było moje zdziwienie kiedy mijałem wycieczki prowadzone przez opiekunów, których uczestnicy (młodzi Żydzi) chodzili bez wymaganych nakryć głów. Wygląda na to, że to osoby powiedzielibyśmy "obce" bardziej starają się przestrzegać narzuconych zasad niż ci, którzy je wymyślili. Dziwne to ale w dzisiejszych czasach młodzież każdej narodowości nie przykłada już takiej wagi do swojej tradycji jaką powinna się wykazywać. Wracając do cmentarza byłem bardzo zaskoczony faktem, że wśród tysięcy nagrobków jakie się tu znajdują wiele z nich miało czysto polskie nazwiska. A więc nie byli to jak byśmy powiedzieli obcy. Byli to tak jak i my mieszkańcy Polski. Wielu z nich uważało się, i słusznie, za Polaków. Właśnie trafiłem na świeżą mogiłę. Wczoraj pochowano tutaj Marka Edelmana.

Mimo cały czas padającego deszczu postanawiam kontynuować zwiedzanie. Dotarłem na Rynek Nowego Miasta gdzie wydarzyła mi się niesamowita przygoda. W poszukiwaniu pieczętki wszedłem do klasztoru Benedyktynki i gdy siostra powiedziała abym położył swoją kronikę w okienku uczyniłem to. Ponieważ obowiązuje tu klauzura okienko obróciło się i już nie miałem notatek. I wtedy się zaczęło. Najpierw siostra kazała mi przeczytać wywieszoną historię klasztoru. Następnie zostałem przeegzaminowany z tego czego się dowiedziałem. Później musiałem wysłuchać bardzo długiej opowieści o różnych cudach jakie miały miejsce na przestrzeni ostatnich lat. Gdy pomyślałem, że już nie odzyskam kroniki, siostra zlitowała się na de mną i ujrzałem w okienku podawczym swój notes. Szybko go chwyciłem i szczęśliwy poszedłem dalej. Na przyszłość muszę stosować zasadę nie spuszczenia z oka prowadzonej kroniki. Dlatego gdy zwiedziłem Ogród Saski z Grobem Nieznanego Żołnierza, nie mogąc znaleźć miejsca, w którym mieliby pieczętkę, dotarłem aż do Teatru Narodowego. Jeszcze ciekawiej wyglądała próba zdobycia pieczętki podczas oglądania zabudowy ulicy Krakowskie Przedmieście. W lokalach gastronomicznych przeważnie są niechętni do takich gestów. Dlatego widząc czerwoną tablicę informującą, że w tym budynku jest instytucja państwowa, bez zastanowienia wszedłem do środka. A na moją prośbę bez zbędnych ceregieli otrzymałem pieczętkę o treści Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Ekstra.

Muszę tu jednak opowiedzieć co mi się wydarzyło pod wieczór kiedy to wybrałem się ponownie w ten rejon wraz z żoną. Ale najpierw wspomnę o naszej wizycie w Pałacu Kultury i Nauki. Okazało się, że aby wjechać na taras widokowy trzeba kupić bilet aż za 15 zł. Myślę, że to lekka przesada. Tym bardziej, że nic tam nie ma a widoki jakie rozpościerają się stamtąd wcale nie powalają na kolana. Do tego o tej porze nie ma szans na zdobycie jakiegokolwiek pieczętki. Trzeba się zadowolić kupionym biletem. Po za tym zrobiło się już nieco chłodno, zatem wróciliśmy do samochodu i pojechaliśmy w stronę Krakowskiego Przedmieścia. Żona koniecznie chciała, mimo kiepskiej pogody, zobaczyć kilka obiektów tam usytuowanych. W momencie gdy dojechaliśmy do krzyżówki, jadący przed nami samochód straży miejskiej skręcił w prawo a my w lewo. Po chwili zrobiło się mniej tłoczno i kątem oka zobaczyliśmy wolne miejsca na parkingu. Stanęliśmy tam. Ponieważ było jakoś dziwnie podszedłem do stojącego przy bramie żołnierza i zapytałem czy na tym parkingu można zostawić samochód. On odpowiedział, że oczywiście można, tylko żebym w automacie wykupił bilet parkingowy. Nawet dodał, abym się nie przejmował bo on pilnuje tu Pałacu Prezydenta więc i siłą rzeczy zwraca też uwagę na zaparkowane samochody. Jednak po chwili spytał się nas jak właściwie tu wjechaliśmy bo przecież wszędzie obowiązuje tu zakaz wjazdu. Chyba musieliśmy być mocno zdziwieni gdyż szybko dodał: Nie przejmujcie się, póki tu stoicie nikt się wami nie zainteresuje. Ale jak będziecie stąd wyjeżdżać to lepiej uważajcie bo z obu stron tylko czekają na takich gapowiczów. Pięknie nas pocieszył. Na swoje usprawiedliwienie powiem, że faktycznie nie zauważyłem żadnego znaku zakazu. Może zasłoniła mi go buda samochodu jadącego przede mną a może po prostu zbyt się zająłem szukaniem wolnego miejsca parkingowego, nie zwracając uwagi na znaki. Po spacerze rozejrzałem się w terenie i znalazłem drogę ewakuacji. Przejechałem na drugą stronę ulicy i pokonując bardzo wysoki krawężnik przemknąłem chodnikiem włączając się do ruchu na normalnej ulicy. Dobrze, że wzięłem auto przystosowane do pokonywania takich przeszkód. Nie mniej potwierdziło to fakt, iż duże miasta najlepiej zwiedzać komunikacją miejską.

Na szczęście był to ostatni obiekt jaki mieliśmy obejrzeć w Warszawie. Wkrótce wybraliśmy się w drogę powrotną do domu. Jak zwykle nie była to droga prosta. Ale o tym gdzie dotarliśmy opowiem w następnym tekście.

Wydawca:

Komisja Krajoznawcza Oddziału „Sudety Zachodnie”

Jelenia Góra – listopad 2012

Tekst i foto: Krzysztof Tęcza